

JAGODOWA WYPRAWA

Autor: Bogusław Łukwiński

Było to w czasach, kiedy liczbę telewizorów na warmińsko – mazurskiej wsi można było policzyć na palcach jednej ręki, a polna droga z Koszelew do Płośnicy wiła się wąską wstęgą wśród łąk zbóż i rzadko można było spotkać na niej rowerzystę, który mozolnie forsował zwały mielącego się pod kołami piasku lub też konny zaprzęg udającego się na swe pole rolnika. Dziś droga, a jakże, dalej łączy obydwie wyżej wspomniane wsie, ale pędzący w szczelnie zamkniętych, klimatyzowanych autach kierowcy są pozbawieni przyjemności odurzania się zapachem zbóż, siana, kwiatów, ziół i starego sosnowego boru – tego, którego mieszkańcy Koszelew zwą i dzisiaj „płośnickim”.

To spory kompleks leśny mający swoje tajemnice związane z grobami wojennymi z 1914 roku i legendami o błakających się potępionych duszach żołnierzy, lecz w mojej pamięci pozostanie jako miejsce niesamowitej wycieczki – wyprawy jakiej nigdy więcej nie doświadczyłem i którą pamiętam, jakby była ona wczoraj, mimo że minęło już pół wieku.

Pomimo obowiązków domowych, zwłaszcza kiedy nie było intensywnych prac polowych, koszelewskie gospodynie spotykały się na przedpołudniową „kolejkową” kawę i nie chodziło tu bynajmniej o napar pity w kolejce przed GS-owskim sklepem, a „kolejkową”, bo spożywaną każdego dnia w innym domu uczestniczki owego miłego skądinąd zwyczaju. Podczas takich „kawowych party” rodziły się niekiedy ciekawe pomysły, a to organizacji sąsiedzkiego wieczorku tanecznego, który dzisiaj nosiłby nazwę „domówki” lub też wspólnej produkcji wieńców nagrobnych z gałązek świerkowych zwanych „jegliją” do udekorowania grobów na przykład na Wszystkich Świętych, czy też organizacji owej niebywale wyprawy do „płośnickiego” lasu – na jagody.

Chętnych rodzin na wyjazd po zbiór czarnego, leśnego runa, jak się okazało nazywało się wiele. Największym logistycznym problemem było znalezienie podwoły. Większość mężczyzn i starszych dzieci zajęta była pracami w polu, no i wolnego zaprzęgu trudno było poszukać. Ostatecznie udało się – wolny pojazd w komplecie z koniem i woźnicą – okazał się być własnością mojego wuja Józefa, na którego niewielkim kilkumorgowym gospodarstwie poważniejszych prac akurat nie było. Była jednak pewna niedogodność. Wóz z zaprzęgu wujka, jako jeden z nielicznych już we wsi, był jeszcze na drewnianych kołach, kowalskiej roboty, okutych stalową obręczą. Być może taki egzemplarz mógłby być dzisiaj ozdobą niejednego szanującego się skansenu, ale wtedy oględnie mówiąc nie zachwycał i każdy z pasażerów wolałby zapewne jechać szybszym, wygodniejszym i lepiej

prezentującym się „gumiakiem”. Swoją drogą wujek Józek mógłby z powodzeniem mieć nowocześniejszy pojazd, bo jego syn mechanik chciał mu taki zbudować, lecz przy każdej próbie imputowania wymiany „na lepszy model”, poczciwy wujek stanowczo odmawiał, bo przecież jego wóz jest dobry i na pewno nie złapie w nim gumy. Do wozu zaprzęgnięta była niewielka siwa klaczka – koński fenomen Koszelew, ponieważ podobnych koników było we wsi kilka. Stanowiły one efekt wielu lat „kooperacji” jasnego ogierka z gospodarstwa pana Faralisza z siwą klaczą od Mondrocha. Całe ich końskie potomstwo oprócz podobnej maści odziedziczyło po swych przodkach spokój i dobre ułożenie, ale nie oszukujmy się – demonami mocy i prędkości nie było. No, ale jak mówi przysłowie darowanemu koniowi, a w tym przypadku nawet z wozem i woźnicą, w zęby się nie zagłąda, czyli nie marudzi i nie wybrzydza. Wczesnym rankiem pięknie zapowiadającego się lipcowego dnia cały drabiniasty wóz zapełnił się po brzegi matkami i ich dziećmi, i wio na spotkanie leśnej przygody!

Ja też – zadowolony zasiadłem obok mojej mamy mieszcząc się swobodnie pomiędzy szczeblami drabiny wozu. Moje szczęście okazało się być wielkie, bo obok mnie usadowił się Marek – mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, niesamowity znawca wiejskiej fauny i flory, którego praktycznej wiedzy mógłby mu z pewnością pozazdrościć sam David Attenborough. Dla mnie Marek też był autorytetem, zazdrościłem mu wiedzy oraz tego, że w gospodarstwie jego rodziców był sad – a w nim między innymi, pachnące, jak żadne znane dziś jabłka – papierówki. Na niedojrzałe jeszcze egzemplarze tego owocu mój przyjaciel odziedziczył po przodkach sposób na wcześniejsze ich dojrzewanie. Marek zagrzebywał je w sianie w stodole i tym samym dodawał im zapachu pogodnie wysuszonej trawy. Okazało się, że jak przystało na prawdziwego przyjaciela, zabrał kilka tak wspaniale uszlachetnionych owoców i podzielił się nimi ze mną.

- „No uważajta narody, ino się trzymajta mocno, co nie wypadnieta” – zaordynował woźnica, wyraźnie czując się odpowiedzialnym za część dziecięcego i niesfornego przecież ładunku.

Ruszyliśmy. Koń ciągnął wóz z wielkim mozołem postępując noga za nogą, a odległość około pięciu kilometrów dzieląca start od celu zdawała się nie mieć końca. Na szczęście dorosła część pasażerów, w sposób zupełnie spontaniczny, zadbała o program artystyczny na czas podróży. Były to głównie wesołe piosenki wykonywane a capella, których kanwa zadziwiająco korespondowała z mijanymi krajobrazami. Gdy wyjechaliśmy ze wsi na pobliskie łąki, zabrzmiał szlagier o Kaśce, która siedziała na łące, na zielonej i czekała na swego kochanego Jasia. Natomiast przy zjeździe z małej górki, kiedy klaczka po raz pierwszy i jedyny tego dnia pchnięta siłą grawitacji ciągniętego za sobą ładunku przeszła

do leciutkiego kłusa, zaintonowano „Hej z góry, z góry jadą Mazury...”. Wydaje mi się, że tylko jedna z piosenek nie pasowała do przyjętego schematu. Być może ten fakt lub też ciekawa warstwa tekstowa wryły się w moją pamięć. Jej bohaterką była niejaka Maryna widziana we młynie na drabinie. Podmiot liryczny wypominał dziewczynie drobny mankament jej urody – „grube uda”, ale wspominał też o dziewczęcych „samych cudach”. No cóż, po latach muszę obiektywnie stwierdzić, że lista prezentowanych utworów do bardzo pruderyjnych raczej nie należała, ale nikogo to nie gorszyło, a raczej wywoływało dobry humor, okraszony szerokim uśmiechem tej sunącej wśród szumiących łąków pól gawiedzi. Najważniejsze było jednak to, że czas zleciał znacznie szybciej, a całkiem już blisko można było zobaczyć ciemnozieloną ścianę upragnionego celu podróży. Podróżni zaczęli sprawdzać, czy las ich już słyszy krzycząc: „hop, hop, echo”, a gaj odpowiadał im tymi samymi słowami zapraszając do siebie. Ja również pozwoliłem sobie pokrzyzczeć, bo zawsze tak bawiliśmy się echem: z moim dziadkiem – gajowym, z rodzicami, czy też z innymi dziećmi.

Po przybyciu na miejsce, całe wesołe towarzystwo dostarczone przez wuja Józka rozpięzchło się po lesie. Wszyscy jednak przestrzegali ustalonych norm i prawideł – dzieci zawsze pozostawały w pobliżu swoich mam i nakazane miały, by nie oddalać się. A skoro była ustalona taka reguła żadnemu nawet na myśl nie przychodziło, by ją złamać. Przecież raz wypowiedziane słowo dorosłego stawało się prawem i nie było z tym dyskusji. Poza tym rodzinne grupy zbieraczy leśnego runa związane były oryginalną siecią kontroli i współpracy. Każde dziecko miało do zbierania kubeczek, który po napełnieniu owocami wysypywało do wiadra stojącego przy mamie. W ten sposób, co jakiś czas kontakt z rodzicem obowiązkowo był zapewniony. Ja także kilkakrotnie pojawiałem się by zsytać swój urobek do naczynia zbiorczego i za każdym razem moja mama dziwiła się, że tak dobrze mi idzie. Uskrzydlało mnie to i motywowało do dalszego zbierania. Miałem zresztą wypróbowany sposób na sukces w jagodobraniu. Pod żadnym pozorem nie można było zrywanego urobku podjadać. Tę przyjemność zostawiałem sobie zawsze na koniec, bo wiedziałem, że jak jagódki zasmakują, to ręce same wrzucać je będą do ust zamiast do kubeczka.

Jak przy każdej solidnej robocie był czas na przerwę śniadaniową, na którą składała się kanapka swojskiego chleba, który piekła nam babcia, gdyż w żaden sposób nie chciała przekonać się do kształtu, wyglądu i smaku pieczywa z geesowskiego sklepu oraz słodkiej kawy zbożowej z mlekiem w szklanej butelce po oranżadzie.

Zadziwiająco szybko nasze wiadro zapełniło się po brzegi jagodami. Inni także mogli poszczycić się podobnym sukcesem. Czas było więc wracać do domu. Droga powrotna jak zwykle zdawała się być znacznie krótsza od tej do celu. Dziesięć litrów jagód niczym wielkie

trofeum świetnie prezentowało się na kuchennym stole i jeszcze przed szesnastą, czyli godziną przyjazdu z pracy mojego taty, zostało przerobione na trzy kulinarne specjały. Pierwszym z nich była zupa jagodowa z zacierkami. Znam doskonale jej smak. Nikt nie robi tak pysznej jagodowej jak moja mama, która jak się okazuje jest jedną z nielicznych gospodyń trudniących się wykonaniem tej rzadko spotykanej kompozycji. Moja żona słucha ze zdumieniem mężowskich wywodów o owej zupie i nie może uwierzyć, że zacierki plus jagody mogą dobrze smakować. A ja mam już przepis od mojej mamy i następnego lata spróbuję wykonać to danie – a co, niech żona zobaczy, że chłop też potrafi.

Drugim daniem wystawnego jagodowego obiadu, którym wspólnie z mamą podjęliśmy głowę rodziny były pierogi – oczywiście z jagodami, które ma się rozumieć pomagałem lepić. Tata był zachwycony niespodzianką, gdyż wiedział o wyprawie i myślał, że nikogo jeszcze nie zastanie w domu. A tu proszę – rodzinka w komplecie, jak co dzień wspólnie zasiadła do obiadu. Nie muszę dodawać, że jagodowe dania bardzo nam wszystkim smakowały. Co się stało z resztą zbiorów? Zostały zamknięte i zakłete w słoiczkach, by zimowymi wieczorami, czarować domowników wspaniałym smakiem i zapachem lata.

Od wielu lat nie mieszkam już w Koszelewach, ale często odwiedzam „płoński” las. Wydaje mi się, że staruszek nic się nie zmienił. Jest prawie taki sam jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się owego letniego poranka. Kiedy byłem starszy zaprzyjaźniłem się z nim, a on odkrył przede mną swoje skarby ukryte w leśnym runie. Potem pokazałem go swojej żonie, a później córce. Często razem wyprawiamy się na jagody, poziomki i podgrzybki, które nigdzie indziej tak pięknie i licznie nie rosną.

